

Pamiętam ten dzień, kiedy komuś pomogłem.

To był czwartek. Jechałem właśnie z pracy, do domu. Pustego domu gdzie nikt na mnie nie czekał. Nie miałem nawet zwierzaka, bo kto by się nim zajmował? Nawet mi się nie śpieszyło. Włączyłem radio, bieg, i po prostu jechałem za jakimś autem.

Wtedy to się wydarzyło, dobrze to widziałem. Na dole wzniesienia, na którego szczycie akurat się znajdowałem. Zderzenie dwóch aut, jedno wpadło w rów uderzając czołowo w drzewo. Nikt się nie zatrzymał. Wszyscy wymijali te dwa samochody i jechali dalej. W sumie, też o tym myślałem... No bo - co mnie to mogło obchodzić? To nie ja miałem wypadek. A jeśli dam się w to wmieszać, wdepnę w ten bajzel na kilka miesięcy.

I wtedy przypomniał mi się mój zwierzak, którego przecież nie posiadam, i który - ani nikt inny - nie czeka na mnie w domu. Tak więc... gdzie mi się tak śpieszy że nie mogę pomóc? Zatrzymałem samochód i wysiadłem z pojazdu. Nie miałem w aucie apteczki, ani nawet trójkąta. Co mogłem zrobić? Przynajmniej dzwonić po pogotowie, prawda?

Z jednego powypadkowego auta zaczął wychodzić mężczyzna i się zatoczył. Był blisko więc podbiegłem łapiąc go przed upadkiem. Od razu zrozumiałem, że facet był po prostu pijany. Poważnie śmierdział alkoholem. Posadziłem go na ziemi, i zaglądnąłem do jego pojazdu - nikogo więcej. Wróciłem biegiem do swojego samochodu po telefon i wybierając numer pogotowia ratunkowego poleciałem do pojazdu w rowie, z którego dotychczas nikt się nie pokazał. Idąc od strony kierowcy, dostrzegłem mężczyznę. Patrzył na mnie.

Stałem przerażony i chciałem irracjonalnie uciec, ale w tym momencie odezwał się głos z drugiej strony połączenia w telefonie. Pogotowie ratunkowe.

Idąc za instrukcjami człowieka po drugiej stronie zacząłem wszystko spowiadać - miejsce wypadku, ilość osób biorących udział w wypadku, ich stan. Kobieta na miejscu pasażera na pewno była nieprzytomna i oddychała, ale przy mężczyźnie nie wiedziałem co miałem powiedzieć. Miał otwarte oczy ale tak naprawdę nie patrzył na mnie jak mi się z początku wydało - nie ruszał głową, ani nie podązał za mną wzrokiem. Pomachałem mu przed oczami i wtedy mrugnął.

- Przytomny. - Zdałem relację osobie po drugiej stronie słuchawki.

Niedługo później przyjechała karetka i zabrała tę trójkę. Zostałem przepytany przez policję, zebrano moje dane, uprzedzono o rozprawie sądowej w tej sprawie za... jakiś czas, a potem puszczono mnie do domu. Tak więc pojechałem. Do szpitala. Nie mogłem pozbyć się tej myśli, że mężczyzna z otwartymi oczami...

patrzył na drogę, i widział jak żadne z aut się nie zatrzymuje.

Na poczekalni przesiedziałem całą noc. Nie wiedziałem czy chcę się pytać o „tę parę z wypadku”, przyznawać się że im pomogłem, czy to wypada żeby się o nich martwić, gdy przecież się ich w ogóle nie zna. Głupio mi było jednak tak po prostu pojechać do domu, a przecież i tak nikt na mnie w nim nie czekał. Więc po prostu siedziałem w poczekalni, ze zwieszoną głową patrząc w podłogę. Raz na jakiś czas ktoś pytał się mnie czy wszystko ze mną dobrze. Strzelałem wtedy jakąś bajeczkę, że czekam aż kolega wyjdzie, że ma podobno wyjść.”

- Ach, normalnie padam z nóg! - Rzuciła głośno kobieta siadając obok mnie w poczekalni.

Gdy spojrzałem na nią dostrzegłem rude, krótkie włosy i zielone ubranie pielęgniarki. Padła na siedzenie rozkładając nogi i ręce. Szybko jednak się poprawiła. Wyprostowała się, założyła nogę na nogę, poprawiła okulary na nosie i wyciągnęła z kieszeni Danio. Spojrzała na mnie.

- Też chcesz?

- Nie, nie, obejdzie się. - Podziękowałem unosząc dłoń, ale wtedy zaburczało mi w brzuchu. No tak - przecież jestem „prosto po robocie”, już tyle czasu.

- Spoko mam drugie. - Stwierdziła wciskając mi je do dłoni.

Niby fajnie, ale... jak ja mam to zjeść? Czym? Spojrzałem na jej dłonie - nie miała łyżeczki. A i tak otwierала jogurta.

- Co jest?

- Nie mamy czym tego zjeść. - Spostrzegłem próbując jej nie urazić.

- Doprawdy? Przecież trzymasz w dłoni. - Dodała, oblizując oderwaną folię pojemnika. Uśmiechnęła się rozbawiona, zapewne widząc moją minę. - Oderwij ostrożnie folię, „wyczyść” i rób to co ja. - Powiedziała.

Zrobiłem więc jak kazała, a potem zaczęła składać folię, pokazując mi każdy krok. Poczujęm się jak w dziecinnej zabawie orgiami. I tak oto zaraz mieliśmy łyżeczki, jedząc wspólnie „późną” kolację, gdy za niedługo miało świtać.

Gdy szybko skończyłem drobny posiłek, po prostu... patrzyłem na nią. A ona udawała że tego nie widzi. Niestety ona również nie była wolna, a gdy skończyła jeść, oznajmiła że czas wracać do pracy. Podziękowała za posiłek, a mi się tak głupio zrobiło że z kilka razy podziękowałem za poczęstowanie. Przecież jak może mi dziękować gdy to ona „postawiła”? Ale nim się obejrzałem już jej nie było. Cóż, skoro już stałem przez to całe zamieszanie z podziękowaniami, to... ruszyłem w głąb szpitala. Zaglądałem ukradkiem do pomieszczeń, aż w końcu ich znalazłem.

Leżeli na szpitalnych łózkach, obok siebie, obydwaj obudzeni, uśmiechnięci, zapłakani i trzymali się za dłonie. Mimo wszystko ja... też się uśmiechnąłem na ten widok. Szczęśliwi że przeżyli, prawda? Razem...

- Ty chyba lubisz podglądać, co? - Usłyszałem znajomy głos, na który aż podskoczyłem no bo faktycznie podglądałem, a ona mnie przytąpała. Stała tak, patrząc na mnie z góry chodź była prawie mojego wzrostu ale od tej niższej strony. Miała skrzyżowane ramiona i patrzyła na mnie wściekła.

- M-mogę wyjaśnić! - Rzuciłem unosząc ręce w obronie przed jej nagle zimnym wzrokiem. Spojrzałem jeszcze raz przez szparę w drzwiach na tę parę szukając wymówki. - Szukałem Ciebie! W sensie... - Wyprostowałem się i wyciągnąłem dłoń.

- Proszę, chcę poznać Twoje imię. Jestem Daniel. Może... wymieniałabyś się numerem? - Zapytałem zaciskając zęby z nerwów.

Zmierzyła mnie wzrokiem, od stóp do głów, że aż się poczułem nagi, taki... bezbronny.

- Nie. - Odparta oschło, ale zaraz potem, gdy zimny pot zlał mi plecy, uśmiechnęła się tak ciepło jak na początku. - Ale jestem Aga. I kończę zaraz swój dyżur. Może skoro już tyle się naczekałeś w poczekalni na swojego „kolegę co ma wyjść”, to posiedzisz tam grzecznie jeszcze godzinę? I pójdziemy na prawdziwe śniadanie. - Puściła mi oczko, opuszczając ramiona. - A teraz zmykaj zanim Cię tu przytapią bez przepustki.

Agnieszka. Rudowłosa Agnieszka, o piwnych, dużych oczach, i okrągłych okularach w złotych oprawkach. Jezu, co za dziwna kobieta! Poszliśmy na śniadanie do kafejki. Kawa, ciasto i kanapka? To jest śniadanie? A buzia to jej się nie zamykała. Ciągle nawijała... przyznam że czasami gubiłem się w tym co mówi. Potrafiła nagle przeskoczyć z jednego tematu na drugi! A po kilku następnych wrócić do poprzedniego. Ale wiem że ma piękny śmiech.

- No co? - Zapytała się mnie raz, gdy od dłuższego czasu nic nie mówiłem. - No wiem wiem, „nie powinnam pić kawy”. Magnez i te sprawy. - Roześmiała się. - Ale trzeba mieć jakieś niezdrowe przyjemności w życiu! Wiesz, „równowaga” - Znów się roześmiała.

Opowiedziała mi o swoim psie, o dwóch kotach babci. O chorym na umyśle wujku, która to choroba polegała na podskakiwaniu na słowo „ziemniak” i o swoim koledze z pracy co zapomniał z domu ubrać butów więc przyszedł w prysznicowych kapciach. Przy okazji zobrazowała mi szczegółowo, albo ogólnie, co by zrobiła z milionową wygraną w totka, jakby chciała żeby jej sunia miała młode, co dziś zje sobie na obiad, i o tym że zamierza wieczorem wskoczyć do bali pełnej pomidorów

a zaraz potem bić się z inną dziewczyną w kiślu.

- Zaraz, co? - Palnąłem zaskoczony, kiedy ta informacja z lekkim opóźnieniem do mnie doszła.

- Ooo, czyli jednak mnie słuchasz. - Mruknęła dając mi kuksańca w ramię.

- Oczywiście że tak, cały czas! - Prychnąłem oburzony.

- Och, doprawdy? Więc co mnie inspiruje do wstawania rano? - Zmrużyła oczy patrząc na mnie.

- Em... nadzieja że wygrasz totka? - Spróbowałem unosząc głos. - Oj no dobra. Bo po prostu... za dużo tego wszystkiego trochę! - Roześmiała się.

- No to powiedz mi wreszcie coś od siebie! Gdy tylko się zamykam nastaje cisza. Więc~? No czekam~... - Mruknęła znów dając mi kuksańca.

Przejrzałem szybko w myślach swoje nudne życie zastanawiając się co mogę powiedzieć. I wtedy mnie olśniło.

- O Jezuu, ja mam pracę! Która godzina? - Palnąłem wystraszony wstając się i zbierając szybko.

- Dochodzi ósma.

- Ósma?! - Powtórzyłem zdenerwowany, i dopiero po chwili odetchnąłem uspakajając się. - Zdażę. Ale muszę już jechać. - Spostrzegłem, ubierając się, zostawiając swoją część za positek i ruszyłem do wyjścia. Odwróciłem się jeszcze na moment. - Na pewno nie wymienisz się numerem? - Spróbowałem jeszcze raz.

- Na pewno. Ale jutro będę tu o tej samej porze. - Odpowiedziała uśmiechnięta. Pożegnaliśmy się, i pojechałem do pracy.

3 miesiące. W ciągu tych trzech miesięcy zdażyłem zdobyć pracę na nocną zmianę, by pracować w podobnych godzinach co ona. Zaczęliśmy jeść razem nie tylko wczesne śniadania, ale i kolacje. Namówiła mnie na grupę regularnych biegaczy, gdzie na początku myślałem że zginę, ale zamiast biec dalej została ze mną na parkowej ławce i wspólnie rozmawialiśmy. Z każdym następnym biegiem szło mi coraz lepiej, aż w końcu mogłem jej dorównać, a potem rozmawialiśmy też i w biegu. Niedawno zaczęliśmy chodzić wspólnie na wspólne spacerzy z jej psem. Ach, i była jeszcze ta rozprawa w sprawie wypadku, który spowodował pijany mężczyzna, więc sprawa, choć późno zaczęta, zakończyła się bardzo szybko. Mijały kolejne miesiące. Poznałem mieszkanie Agi, ona poznała moje. Ja jej przyjaciół, ona moich znajomych. I nie uwierzcie! Jej sunia naprawdę doczekała się szczeniąt. Istny sajgon w mieszkaniu! Które stało się nagle za małe... Nie rozumiem - jak dotychczas każde z nich wystarczało na naszą dwójkę. A teraz nawet jej, które było większe od mojego, było za ciasne. To był ten moment,

kiedy wiedziałem. Wiedziałem czego chcę.

- Agnieszka... - Zacząłem, zbierając się na odwagę, gdy wyprowadzaliśmy wieczorem razem psa.

- Haha, a co tak poważnie? I to pełnym imieniem „Agnieszka”. - Zaakcentowała niskim basem, mocno rozbawiona.

I ja się uśmiechnąłem, i co najważniejsze rozluźniłem. Chwyciłem obie jej dłonie, złączyłem zatrzymując ją przede mną, i uklęknąłem.

- Aga, czy zrobisz mi ten zaszczyt, i zostaniesz moją żoną? - Zapytałem, wyciągając z kieszeni pudełko z pierścionkiem.

Niedługo później kupowaliśmy wspólnie większe mieszkanie. Nie dom, nie szalejmy. Ale porządne mieszkanie, z dużą kuchnią, dwoma pokojami. Nie jakieś studio. Małe suni poszły w świat, a dokładniej do naszych wspólnych przyjaciół. Zostawiliśmy tylko jedno - krnąbrnego chłopczyka. W ogóle nie chciał się mnie słuchać! Ale Aga za bardzo go pokochała, by go oddać - więc został. Nasz mały szkrab.

A niedługo po ślubie, jeden z pokoi musieliśmy... chcieliśmy przemalować na niebiesko. Agnieszka poszła na całość i namalowała na suficie chmury i słońce na całość. Chciała też namalować na tych niebieskich ścianach ryby, ale w ostatniej chwili się odezwałem.

- Te, ale skoro jest słońce i chmury to niebieski jest chyba niebem, a nie wodą, prawda? - Spostrzegłem, i myśląc że uratowałem sytuację, poszedłem do salonu dalej kombinować nad tą niepasującą do niczego instrukcją montowania łóżeczka dla dziecka. A gdzie tam - jak tylko wróciłem do pokoju znalazłem ptaki. Od sikorek, sów, po mewy...

- Więcej się tego nie dało? - Zapytałem ironicznie i... pożałowałem.

Nasze oba małe szkraby rosły jak na drożdżach. No, co prawda ten pierwszy bardzo szybko wyrósł... Nie żeby nie uważał że drugi wcale nie - tylko kalendarz przypominał mi że to mijają lata a nie miesiące... A przecież jeszcze wczoraj wzdrygałem się nad samym wyrzuceniem pieluchy! A teraz już szedł do szkoły...

- Za szybko dorastają... - Mruknąłem patrząc jak z wypiętą piersią wchodzi na teren podstawówki.

- Ty się ciesz że jeszcze mówi „tato” a nie „ojcze” - Rzuciła z niemalym rozbawieniem Agnieszka, a ja myślałem że ją uduszę.

Zamiast tego poszliśmy na kawę i ciasto, do naszej ulubionej kafejki. Może ta w której pierwszy raz rozmawialiśmy już była zamknięta, ale znaleźliśmy inną, podobną, tylko z jeszcze lepszym ciastem. A potem? Padliśmy na twarz, na łóżko w naszej sypialni, spać póki młody w szkole.

- Jesteśmy! Ojciec? - Usłyszałem jego głos po tym jak wrócił z Mamą i aż podskoczyłem na to słowo. 4 klasa podstawówki i pierwszy raz jak nazwał mnie „ojcem” a nie „tata”.

Jęknąłem biegnąc do niego i przytulając go.

- Synuś, czemu?! Dlaczego? Czy już nie jestem Twoim „Tatusiem”? - Zapytałem i czułem łzy w oczach.

- Mama mnie poprosiła przed wejściem. - Powiedział zawieszając mi się z uśmiechem na szyi.

Wtedy żona nie wytrzymała, i opierając się o ścianę padła ze śmiechu. Pomyślałem że jeszcze się zemszczę.

Po miesiącu, gdy tym razem to ja sam odbierałem syna, poprosiłem go by nazwał ją „matką”. Z błyskiem w oczach wycelowana we mnie łyżka, którą jeszcze przed chwilą mieszała gotujące się leczo w kuchni.

- Tyyy... Jak śmiesz nasze dziecko uczyć tak brzydko mówić! - I wiedziałem że muszę uciekać.

7 klasa podstawówki. Już nie chciał żeby którekolwiek z nas go odbierało.

- Na co to wyrosło? Słyszałaś go? „To wstyd” - Narzekałem naburmuszony siedząc przy żonie w kuchni. Znaczący, ona stała i gotowała w tej kuchni - jej tydzień.

Młode które zostało nam po suni wskoczyło mi przednimi łapami na kolana, wyczuwając chyba mój nastrój i chcąc mnie pocieszyć. Nadal cholernik się mnie ani trochę nie słuchał! Ale najbardziej lubił naszego syna, a gdy go nie było, to mnie. Żonę zaś jako jedyną szanował.

- Wróciłem! - Usłyszałem głos powracającego dziecięcia. W chwilę dołączył do nas w kuchni. - Co dziś na obiad?

Kiedyś myślałem że to moja żona jest największą gadułą. I nikt nie jest i nigdy nie będzie w stanie jej przebić. Jakże się wtedy myliłem... W ogóle nie pomyślałem, że przecież to gadulstwo może być jak najbardziej dziedziczne. Już na samym początku znałem imiona wszystkich dzieci z jego klasy. I codziennie wiedziałem też co dokładnie stało się na lekcjach, oraz poza nimi. Tak samo znałem nazwiska ulubieńców mojego syna wśród nauczycieli, jak i pozostałych, oraz dlaczego każdego z nich uwielbiał lub też nie. Najczęściej lubił mówić o

jednym nauczycielu geografii, historii i wiedzy o społeczeństwie jak i opiece grupy wolontariuszy Amnesty International - wciąż jedna osoba. Jego najulubieńszy ulubieniec wszechczasów i „wszechmiejsca”.

Głupio mi było, że nie byłem nigdy na żadnej wywiadówce syna. Chodziła na nie Aga... ale nie czułem się z tego powodu jakoś biedniejszy. Nie przy codziennych opowiadaniach malucha.

Jednej okazji jednak nie mogłem przegapić w życiu mojego szkraba. Za żadne skarby! Wziąłem wtedy wolne nawet za cenę utraty pracy - której na szczęście nie kazano mi płacić - byle być. Na ukończeniu szkoły podstawowej przez mojego syna!

Wszelkie nieobecności na występach i konkursach rozumiał, ale przecież tego by mi nie wybaczył! Sam bym sobie nie wybaczył... Tak więc siedziałem tam, kuksańcami żony powstrzymywany od łez, choć to przecież tży dumy! A gdy oficjalna impreza się skończyła, zostały klasowe zdjęcia. W tym czasie syn szybko mnie odnalazł.

- Chodź tata, tata! Musicie się poznać! - Piszczął radośnie.

Właściwie to nawijał mi o tym już od tygodnia, jak było pewne że będę na zakończeniu - to była jego pierwsza i ostatnia okazja żeby „pochwalić” mi się swoim ulubionym nauczycielem.

- Proszę, oto Pan! - Rzucił z uśmiechem, stawiając mnie przed wyprostowanym mężczyzną, któremu zaczynały sinieć już ciemne włosy. - Proszę pana, to mój tata. - Rzucił młodzik, wskazując na mnie obiema rękami.

Ale wiecie co wam powiem? On już patrzył na mnie wcześniej, jak szliśmy do niego. I rozszerzał oczy jakby miały mu wypaść.

- Co jest? Zobaczył pan ducha? - Rzuciłem żartobliwie, a potem wyciągnąłem do niego dłoń. - Dziękuję za tak dobrą opiekę nad moim synem. Nie przestaje pana wychwalać! - Powiedziałem już normalnie, karcąc się w myślach za wcześniejsze słowa. Za dużo czasu z Ag.

Mężczyzna uśmiechnął się... naprawdę bardzo serdecznie i pochwycił moją dłoń obiema dłońmi.

- A ja dziękuję że wiele lat temu zatrzymał się pan przy wypadku. - Spojrzałem na niego zaskoczony.

- Tato?! Klasa chce mieć z Tobą zdjęcie! - Nauczyciel przeprosił i odszedł w stronę tego krzyku. To wołała kobieta, młodziutka, ale uzdolniona fotografka zatrudniona na tę uroczystość, o włosach czarnych i... tak kręconych jak kobieta z tej pary, której wypadku byłem świadkiem.

- Tato? - Poczulem lekkie szarpnięcie za rękaw i spojrzałem w dół na swojego syna, a zaraz potem podeszła do mnie żona i objęła mnie za ramię.

- Kochanie? - Szepnęła troskliwie.

Tak. Doskonale pamiętam ten dzień, kiedy komuś pomogłem. Ale jednocześnie doskonale pamiętam dzień, kiedy ktoś pomógł mi. Ponieważ to był ten sam dzień. I ta sama osoba. Pomagając mu uratować życie, on pomógł mi znaleźć życie.